

# Społeczeństwo, Głupcze!

## I Palimpsest historycznych znaczeń

Kiedy dochodzą do mnie wieści dotyczące projektów reformowania szkolnictwa wyższego podejmowanego przez nasze władze, to właściwie nie mogę w nie uwierzyć, tak wydają mi się absurdalne. Zwłaszcza realizacja jednego z punktów z listy „reform” Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, jest dla mnie konceptem z Orwella, pomysłem z piekielnego political fiction. Mam na myśli, oczywiście, podział na uniwersytety flagowe i techniczne (to znaczy zawodowe i praktyczne).

To, że niczego nie wiemy na pewno, że krążymy pomiędzy niepełnymi i niepewnymi informacjami tylko pogłębia uzasadnione przecież obawy: w końcu PGR-y zlikwidowano z dnia na dzień; a podejrzewam, że dla władców naszego państwa nie ma wielkiej różnicy pomiędzy masową degradacją 14-15 polskich uniwersytetów, a zlikwidowaniem Państwowych Przedsiębiorstw Rolniczych.

Pomysł podziału uniwersytetów na techniczne (zdecydowana większość) i flagowe (od trzech do pięciu) śmiało nazwać można pomysłem na demontaż Polski. Jeśli oderwiemy się – w pierwszym momencie – od problemu oceny, rankingu uniwersytetów, i spojrzymy na sprawę biorąc po uwagę szerszy kontekst historyczny i społeczny, to zobaczymy, że na trzech pierwszych miejscach elitarnego uniwersyteckiego klubu miałyby się znaleźć prawie wyłącznie uczelnie dawnej Polski z jej trzech najstarszych dzielnic – Małopolski (Kraków), Wielkopolski (Poznań) oraz Mazowska (Warszawa). W szeptanych wieściach mówi się więc o Uniwersytecie Warszawskim, Jagiellońskim, UAM z Poznania oraz Uniwersytecie Wrocławskim (jedyna szkoła wyższa w elitarnym klubie, która nie należała do polskich uniwersytetów przedwojennych, była uniwersytetem niemieckim); żaden z nich nie powstał po 1945 roku.

Poza klubem wybranych uczelni pozostałby więc Górny Śląsk (Katowice), Pomorze (Gdańsk i Szczecin), Warmia i Mazury (Olsztyn), uczelnie Polski (ściany) wschodniej (Lublin i Białystok), a także uniwersytety tych ziem, które komuniści nazywali odzyskanymi – z uniwersytetami w Zielonej Górze, Opolu, Szczecinie. Jest to powrót do uniwersyteckiej mapy międzywojnia bez Wilna i Lwowa (zamiast nich pojawia się polski uniwersytet we Wrocławiu ze swoją lwowską legendą). Fakt, że międzywojenne państwo, do którego okrężną drogą wracamy, było zacofanym, peryferyjnym krajem bez perspektyw nie daje do myślenia,

nie wywołuje obaw. Być może władze nie miały (świadomie) tego zamiaru, ale w praktyce chcą dokonać aktu, który można nazwać podważeniem geograficznego i politycznego kształtu Polski po 1945 roku. Demontaż sieci państwowych publicznych uniwersytetów ma, jak sądzę, charakter odrzucenia powojennej (przede wszystkim peerelowskiej) historii en block.

Dzieje każdego powojennego polskiego uniwersytetu zanurzone są bowiem w historycznym kontekście, są żywym i zinstytucjonalizowanym zarazem zapisem skomplikowanych interakcji pomiędzy centralną władzą a miejscowymi urzędnikami, funkcjonariuszami, inteligentnymi elitami i ludnością. Ograniczone zasoby mocy sprawczych lokalnych społeczności przechowywane były, ale także wytwarzane i wzmacniane w lokalnych szkołach uniwersyteckich; w sprawie ich powstania i sposobu funkcjonowania toczyły się nieliczne w powojennej Polsce dyskusje i negocjacje społeczeństwa z władzą.

Pod koniec wojny i tuż po jej zakończeniu, inicjatywa należała niewątpliwie do władz centralnych, pierwsza fala decyzji o utworzeniu uniwersytetów przesuwiała się wraz z linią frontu, uniwersytety powstawały w Lublinie (1944, UMC przeciw KUL-owi), Toruniu i Łodzi (1945). Następne decyzje o utworzeniu ośrodków uniwersyteckich podjęte zostaną wiele lat później: Uniwersytet Śląski utworzono w złowieszczym dla Polski roku 1968 (miał być kuźnią kadr partyjnych, a po kilkunastu latach stał się jednym z najbardziej niekonwencjonalnych ośrodków myśli w Polsce) a w 1970 powstał Uniwersytet Gdański. Lata osiemdziesiąte wiążą się z pojawieniem się uniwersytetu w Szczecinie (1984).

W tych ostatnich trzech przypadkach inicjatywa utworzenia uniwersytetu była skutkiem długoletnich nacisków władz regionalnych na KC PZPR, żeby partia zgodziła się łaskawie na powstanie nowych uczelni. Przedstawiciele totalitarnej władzy wiedzieli, że prędzej czy później stać się one mogą ośrodkami krytycznej myśli (czasem oporu) i dlatego ustępowali z trudem. Często było tak, że Komitety Wojewódzkie PZPR stowarzyszając się w tym punkcie z miejscowymi elitami, dążyły do utworzenia uniwersytetów, bo to nobilitowało region – proces ten trwał także po 1989 roku i obecny kształt 18 uniwersytetów państwowych i publicznych, zwanych klasycznymi, jest rezultatem długoletnich starań mieszkańców społeczności lokalnych: utworzenie każdej uniwersyteckiej szkoły wyższej było ważnym aktem awansu małych ojczyzn; źródłem dumy lokalnych wspólnot.

Można zaryzykować tezę, że powstanie uniwersytetu dla każdej z części naszego kraju miało wymiar realnego przyłączenia danego obszaru do Polski – dotyczy to przede wszystkim tak zwanych ziem odzyskanych (stanowią one jedną trzecią powierzchni państwa).

Polska jest krajem silnych napięć postkolonialnych (postzależnościowych), jest też krajem kulturowo młodym, nowoczesna wspólnota narodowa zrodziła się w XIX wieku, w naszej

części Europy w warunkach niewoli i właściwie nadal się kształtuje. Od ponad dwustu lat zarówno ziemia, jak i skład etniczny oraz klasowy naszej obrotowej ojczyzny ciągle się zmieniają; stare, niezabliźnione rany z czasów 123 letniej niewoli są ciągle na nowo kaleczone, od 1939 roku do dzisiaj. Dwieście lat prawie nieustających szokowych przemian; oporne przepracowywanie skutków traumy niewolnictwa (bo tak trzeba nazwać położenie pańszczyźnianych chłopów), potem traumy wojennej, holokaustowej; przewyciężenie PRL-owskich deformacji rozwojowych, wszystko to wymaga wielu form myśli krytycznej; wymaga ogromnego wysiłku twórczyń i twórców; przedstawicieli nauki, kultury, sztuki. Wymaga pamięci i świadomości historycznej.

Wyobraźmy sobie – czysto teoretycznie – że przez ostatnie dziesięć lat Uniwersytet Jagielloński bardzo podupadł naukowo i zajmuje w rankingach ostatnie miejsca, więc minister Lena Kolarska-Bobińska decyduje się umieścić krakowską Alma Mater na liście uczelni technicznych. Pomysł ten szokuje – śmieszy i oburza – nawet najgorszy stan krakowskiej uczelni nie daje podstaw, żeby ją odgórnie degradować czy likwidować. UJ jest częścią polskiej kultury i historii, żaden rząd żadnej partii, żaden parlament nie ma mandatu, żeby to uczynić.

Historia Uniwersytetu Gdańskiego czy Uniwersytetu Śląskiego, o wiele krótsza i o wiele mniej imponująca niż historia UJ-u, jest także częścią historii narodowej wspólnoty, jest żywym, choć bolesnym i czasem wstydliwym palimpsestem pamięci społecznych i intelektualnych interakcji. Ta historia, ta pamięć nie powinna być traktowana jak zabawka w rękach politycznych łątek. To nie jest ich własność, to do nich nie należy.

Wolny, mieszczański, wielokulturowy Gdańsk nigdy nie miał uczelni o charakterze uniwersyteckim (jego namiastką było słynne gimnazjum akademickie). W roku 1970 Wyższa Szkoła Pedagogiczna i Wyższa Szkoła Ekonomiczna utworzyły gdańską Alma Mater. Powstanie UG było stosunkowo trwałym efektem krótkiej gierkowskiej odwilży. Pamiętam, jak Günter Grass podczas swojej pierwszej wizyty na Uniwersytecie w Gdańsku, wielkodusznie cieszył się tego, że jego rodzinne miasto po wielu wiekach doczekało się Uniwersytetu. Wyłonienie się szkoły o tej randze miało niewątpliwie znaczenie dla sierpnia 1980 roku: wielu studentów i absolwentów UG uczestniczyło w budowaniu struktur jawnej Solidarności, w latach 1981-1989 działało w podziemiu; a potem, jak wiemy, część tych elit, desantowała się do Warszawy (i ma swój niewątpliwą udział w zgotowanym nam neoliberalnym pasztecie).

Uniwersytet Gdański powstał na ziemi Kaszubów jako polska uczelnia, pojawił się więc – także – jako instytucja kolonizująca te ziemie przez ludność napływową. Stopniowo, zwłaszcza wraz z powstaniem wolnej Polski, z odradzaniem się świadomości Kaszubów; zaczynamy jako pomorska zbiorowość uniwersytecka przepracowywać tę dominację. Podobne, choć zarazem bardzo odmienne, procesy mają miejsce w wielu częściach Polski, między innymi na Śląsku, w Zielonej Górze, Opolu czy w Szczecinie. Wszędzie uniwersytet jest ważnym ośrodkiem tego rodzaju pracy.

Akt degradacji kilkunastu uniwersytetów świadczyłby o tym, że procesy narodotwórcze, procesy przepracowywania traum i konfliktów, toczące się Gdańsku, Szczecinie, Zielonej Górze, Białymstoku, Kielcach, Bydgoszczy, Katowicach są bez znaczenia dla „centrali”, dla „metropolii”; to byłby sygnał, że są bez wartości dla polskiego państwa bez pamięci, bez historii. Już teraz dręczy nas arogancja władzy, a co będzie, gdy jej przedstawicielami staną się prawie wyłącznie przyszli absolwenci trzech czterech szkół elitarnego korpusu (przed ich studiami za granicą).

Sieć państwowych, klasycznych uniwersytetów jest ważnym elementem integracji naszej obrotowej ojczyzny; być może jedynym, który ma szansę stać się w przyszłości zalążkiem Polski aktywnych regionów, Polski partycypacji, Polski pogłębionej demokracji. Sieć ta w sensie strukturalnym, jest to najlepszym, najbardziej wartościowym aspektem spadku po PRL-u. Jasne, że jest to narzędzie rozwoju i demokratyzacji bardziej potencjalne niż realne, ale gdy zostanie zniszczone, energie płynąc będą już tylko z góry do dołu – a to już chyba, na różne sposoby, przerabialiśmy.

[Znów zasygnalizuję wartość tego instrumentu dwoma lokalnymi przykładami. W niedawnych wyborach na urząd prezydenta Gdańska przedstawicielka ruchów miejskich, Ewa Lieder, uzyskała najlepszy procentowo wynik w kraju w klasie tego typu inicjatyw (12,4); zaś 30 maja 2015 roku przeszedł w Gdańsku Pierwszy Trójmiejski Marsz Równości, który zgromadził, według organizatorów, ponad dwa tysiące ludzi. Powtarzam, był to pierwszy marsz, a szło w nim najwięcej uczestników tego typu demonstracji (zorganizowanych przez ruchy LGBT) poza Warszawą. Przemawiał prezydent niedalekiego Słupska, Robert Biedroń. Uniwersytet ma w tych sukcesach demokracji swój udział – Ewa Lieder współpracowała z pracownikami UG, zwłaszcza z dr Marcinem Gerwinem, a prezeską Tolerado (głównego organizatora Marszu) jest dr Anna Strzałkowska, wykładowczyni Wydziału Nauk Społecznych UG.]

Regularne prześlępianie tych sygnałów zmiany – zupełnie innej niż Kukizowa – wynika jest z automatyzmu przeświadczenia, że zmiana musi się zacząć od góry, od centrali, w Warszawie.

Tymczasem wolna Polska zaczęła się na Wybrzeżu i ciągle jesteśmy z tego dumni. Pamięć tamtego upodmiotowienia, tamtego odzyskania mocy, zgaszona teraz i niemrawa, wciąż w nas trwa.

Ugodzić w tę czy inną dumę (czy nie imponuje wam, że Uniwersytet Śląski nadał Derridzie doktorat honoris causa; że jego rektor, dawny hippis, profesor Sławek, słuchał w swoim gabinecie rocka?) degradując uniwersytety; kierować swoją wielkopańską zbiorową pogardę zarówno ku wykładowcom i uczonym z Bydgoszczy i Lublina, jak i ku ich małym ojczyznom, których racje, problemy, punkt widzenia, analitycy i pisarze zgromadzeni wewnątrz (zazwyczaj skądinąd straszliwej) akademii usiłują wyrazić i interpretować, to odebrać poczucie sprawczości, to odebrać nadzieję, rozmach egzystencjalnych i poznawczych planów, setkom tysięcy najbardziej aktywnych kobiet i mężczyzn.

Ciągle głądzić o innowacyjności i przedsiębiorczości a jednocześnie nieustannie podejmować decyzje prowadzące do ich unicestwiania – bez trudu rozpoznajemy w pomysłach degradacji uniwersytetów, w panującej aurze geszeftu bez skrzydeł i perspektyw, ślad fantazmatycznego panowania trzech figur reprezentujących odmienne (i połączone, niestety) aspekty konserwatyzmu i zamknięcia: neoliberalny ekstremizm w typie profesora Balcerowicza (jednym aktem zgnieść wszystkie peerelowskie złogi – działać pięknie, zdecydowanie, mocno!); czarną pedagogikę polskiego przedsoborowego właściwie kościoła reprezentowanego przez kogoś takiego jak arcybiskup Hozer (karać, stygmatyzować a potem bezwzględnie wykluczyć) oraz pogardę dla plebejuszy, pogardę spadkobierców Radziwiłła Panie Kochanku, odtwarzających w każdej korporacji i zakładzie pracy folwarczne stosunki społeczne.

Te trzy widma prowadzą nas w przepaść banału i/lub szaleństwa.

## **II Nie przekreśli**

A że polskie uniwersytety są w złym stanie, w zapaści, to fakt i inna sprawa: „Są w ojczyźnie rachunki krzywd, obca dłoń ich też nie przekreśli...”. Musimy się razem obronić przeciw upokorzeniu i degradacji. Przeciw biedzie, przeciw zubożeniu, przeciw redukcji.

Nic o nas bez nas. Władza i my musimy zacząć rozmawiać naprawdę. Najwyższa pora, żeby stworzyć sensowną formułę okrągłego stołu dla wszystkich środowisk akademickich w Polsce. Czas skończyć z pokątnymi konszachtami władzy z jednymi środowiskami przy zupełnym pomijaniu innych.